

Z pamiętników wspólnika zbrodni.

Powieść z angielskiego opracował W. K.

5

(Ciąg dalszy).

Gdy braknie czasem partnera, to i ja staję w szeregu, oczywiście bez nadziei powodzenia. Niechże pan znajdzie w tem pociechę, że będą może tacy jak ja, a więc gorsi gracze od pana. Co do rybołówstwa, to możecie panowie najswobodniej się niem zajmować przed śniadaniem i po obiedzie. O, zachynają, to będzie interesujące. A więc do widzenia. Mój syn napisze do panów, którego dnia będziemy na stacyi oczekiwali. Dziękuję, do widzenia.

Uklonił się uprzejmie i wyszedł z łoży ku arenie, aby się dokładniej zapasom krykietowym przypatrywać.

Wróciliśmy na swoje miejsca.

— Coś ty uczynił? — rzekłem z wyrzutem — wszakże wiesz, że ja właściwie nie mam pojęcia o krykiecie.

— Dajże spokój z tem gadaniem. Umiesz, czy nie umiesz, to wszystko jedno, a być tam musisz. O wpół do siódmej przyjdę do ciebie i wyjaśnię rzecz całą.

Zamilkłem. Oczywiście domyśliłem się z tego wszystkiego, że Raffles powziął jakieś plany, ale nie zastanawiałem się, nie rozważałem, co by właściwie zamierzał, zwłaszcza, że właśnie druga grupa do gry ustawiać się zaczęła i Raffles stanął na arenie.

Jak on dziś grał znakomicie! Mógłbym tylko użyć wyrażenia tuzinkowych krytyków, zwykłych pisać w sprawozdaniach z teatru i koncertu, że ten lub ów artysta „przewyższył samego siebie“. Raffles istotnie „przewyższał samego siebie“ w dzisiejszej partyi. I zręczność w rzutach i bystrość oka i umysłu, lekkość ruchów, piękna, urodziwa postawa, wszystko to wywierało na widzach niemal entuzjastyczne wrażenie. Jak się takiemu człowiekowi nie powierzyć z duszą i ciałem, jak mu nie ulegać? Działał na mnie czarująco.

O wpół do siódmej zjawił się u mnie z właściwą sobie punktualnością.

— No, no — rzekł na wstępie — dziś miałem niezwykłą ochotę do grania; wiodło mi się doskonale. A wiesz dlaczego?

— Nie wiem

— Bo zły byłem, jak sto dyabłów.

— A to znowu dlaczego?

— Dlaczego? dlaczego? po co się pytasz, przecież domyślić się możesz.

— To już chyba nie tak łatwo.

— Ten Amerstet mnie rozgniewał.

— Amerstet? — wszakże tak gorąco cię zaprosił.

— Właśnie dlatego. To mnie złości, że zaprosił nie Rafflesa, tylko partnera w krykieta. Tak zupełnie; jak gdybym był zawodowym graczem w krykieta i za pieniądze się popisywał.

— To pocóż do licha przyjąłeś jego zaproszenie?...

— Aby go ukarać. Bo to mój chłopcze pamiętać trzeba, iż fundusze się wyczerpują i wkrótce moglibyśmy zostać bez grosza.

— Więc tam...

— Tam się znajdzie coś dla nas. Będą obiady, bale; nroczystości potrącają co najmniej cały tydzień. Oczywiście, że kobiety ustroją się brylantami na jakie krocie tysięcy funtów. Nie zwykłem nadużywać gościnności, to podle, to godne pospolitych złodziei, ale tu co innego. Zaprosili nas, jak się zaprasza płatnych muzykantów, a więc niech zaplają, dobrze zaplają.

— Ale bądź co bądź wygląda mi twój zamiar na zwykłą, prostą kradzież.

— Niezawodnie, przyznaję. Ale co czynić? Goniimy już ostatkami, a do tego musimy potrzebujemy mieć żadnych względów wobec tych ludzi, co nas z takim lekceważeniem zaprosili. No, a i to ci dodam, że sprawa nie będzie bez wysiłku. Łatwo, bardzo łatwo zdobyć tam brylanty, ale niezmiernie trudno ująć z nimi, bez ściągnięcia podejrzenia na siebie. W tem sztuka i to nie mała, aby wiele upolować, a podejrzenie zważyć na innych. Ale mamy jeszcze dość czasu; rozważymy wszystko. To nie ulega wątpliwości, że sprawę załatwić trzeba po mistrzowsku.

Małośmy się teraz stykali. Raffles i do klubu rzadko zachodził i mnie nie odwiedzał, a gdyśmy się zeszli, zaczynał o rzeczach obojętnych. Miałem to niby rozważać wszystko, ale to rozważanie

skończyło się na tem, że jak zwykle, knuł coś, układał, a przedemną z niczem się nie zwierzał. Przywyklszy do tego, już się o to nie gniewałem i zdałem wszystko na jego głowę.

Wreszcie nadszedł list, że na dziesiątego sierpnia w Milchester Abbey, rezydencji lorda Amersteta, oczekują. Już w pierwszych dniach sierpnia wybraliśmy się w tamte strony, zabrawszy wędkę ze sobą. Zależało Rafflesowi na tem, abyśmy tam dokładnie poznali okolicę i stosunki miejscowe i zjednali sobie opinie spokojnych, cichych, naiwnych zwolenników rybołówstwa. Kiedy niekiedy ćwiczył mnie Raffles w krykiecie, jakoż nabyłem o grze bodaj tyle pojęcia, że już mogłem bodaj ośmielić się stanąć na arenie.

Pewnego dnia zdarzyło się, że wracając z pałacu musieliśmy zejść do gospody, bo zerwał się nagle wicher i na straszną burzę się zanosilo. Zaledwie stanęliśmy na progu izby, spostrzegłem pośród wieśniaków jakiegoś człowieka, ubranego z przesadną elegancją; bokiem zwrócony do drzwi, zapijał piwo i palił cygaro. Chciałem wejść do izby, ale Raffles szarpnął mnie nagle za surdut i cofnął.

— Ależ tu taki dym, smród, szkaradziństwo — rzekł Raffles z cicha. — Chodźmy stąd czempredzej.

Wyszliśmy. Byłem pewien, że nie dym, nie smród go odpędził od progu, jeno widok owego elegancko ubranego człowieka, bo nagle posmutniał, zagryzł wargi i zamyślił się dość niespokojnie.

Nareszcie nadszedł dzień, gdyśmy się już musieli wybrać do Milchester Abbey. Zdaleka piętrzył się okazałe wspaniały gmach zamku, otoczony gęstwiną rozległego parku. Na drogach dojazdowych ustawiono maszty, przystrojone w powiewne flagi, a między masztami zwieszały się łukiem różnobarwne lampiony. Przybyliśmy cokolwiek późno; zaledwie zostało nam tyle czasu, ażeby ubrać się do obiadu.

W salonie zebrało się towarzystwo tak liczne i tak wykwintne, z jakim nie spotkałem się dotychczas nigdy. Przywykły do towarzyskiego życia i do obcowania z największymi powagami w towarzyskim świecie, tutaj uczułem się jakby skępowany, oniesmielony, bo mi się wciąż przypominało, w jakim celu przybyliśmy w gościnę. Nigdy nie uczuwałem takiego niepokoju, takiego zakłopotania; oburzałem się na samego siebie, że zaproszenie przyjąłem, a chwilami ogarniała mnie taka złość na Rafflesa, że go wprost nienawidziłem. Ucieszyłem się więc niezmiernie, gdy wreszcie zaproszono do obiadu.

Wskazano mi miejsce obok jakiejś młodej kobiety, ubranej znacznie skromniej, niż inne i nie błyszczącej brylantami. Szczęście moje wielkie, że nie potrzebowałem wysilać się, aby ją zabawić rozmową, bo pierwsza, z wielkiemżywieniem, rozmowę zaczęła. Była to miss Melnish, córka pastora z przyległej wioski. Na wstępie powiedziała mi z całą naiwnością, że ją dlatego tylko zaproszono, ażeby do stołu nie siadła nieparzysta liczba osób. Szczególna to była istota; takiej naiwnej szczebiotliwości, jak u niej nie spotkałem nigdy w życiu u żadnej kobiety. Opowiadała mi o swoich stosunkach rodzinnych, o sąsiedztwach, o ilości inwentarza, który jej ojciec posiada. Jakżeż wdzięczny byłem jej zato, chociaż co prawda wszystkie te wiadomości były dla mnie dosyć obojętne.

Gdy na chwilę przerwała opowiadanie, uważałem za obowiązek także coś powiedzieć i rzekłem od niechcenia:

— Żałuję bardzo, że w tem wytwornem towarzystwie nikomu nie jestem znany, z wyjątkiem lorda Amerstet.

— Ależ to tak łatwo wszystkich zaraz poznać. Ja panu będę wymieniała nazwiska osób. Zaczniemy od tej pani, która siedzi przy panu po prawej ręce.

I zaczęła wymieniać tuziny nazwisk, przyczem o każdej osobie dodała jakąś uwagę, na szczęście nie złośliwą. Już to muszę jej przyznać, że nie było w niej ani śladu uszczypliwości, a nawet przeciwnie, bo widocznie skłonna była do entuzjazmu. Gdy mi już wymieniła wszystkie osoby po kolei, nagle szeptem zapytała, czy umiem dochować tajemnicy.

— Niezawodnie, może pani najzupełniej być o tem przekonana — odpowiedziałem, wyczekując czegoś zabawnego.

— Nie boi się pan włamywaczy? — zapytała szeptem.

To zapytanie sprawiło na mnie wrażenie takie, jakby mnie kto oblał gorącą wodą. Przemknęło

mi się przez myśl, że może jesteśmy odkryci, zdradzeni. Zebrawszy siły opanowałem się i odpowiedziałem na pozór spokojnie:

— Włamywaczy? alboż nie można przed nimi się ustrzedz?

— Bywają podobno tacy, przed którymi ustrzedz się niepodobna.

— To niemożliwe.

— Nie mówże pan tak głośno. To wszystko jest najściślejszą tajemnicą, a ja tylko w największym zaufaniu wyjawiam ją panu. Właściwie nie powinienem nic a nic o tem mówić.

— Cóż to za tajemnica? — zapytałem niecierpliwie i z rozdrażnieniem.

— Widzę, że to pana zajmuje; bardzo się z tego cieszę, bo będę spokojna, że się pan nie znudził w mojem towarzystwie. Ale czy mi pan przyrzeknie uroczyście nikomu o tem nic nie powiedzieć?

— Przyrzekam pani najuroczyściej.

— A więc słuchaj pan: W okolicy są dwaj włamywacze.

— Czy już kogo okradli?

— Jeszcze nie.

— A więc skąd owa wiadomość?

— Widziano ich w najbliższej okolicy i wysłedzono. Są to najzręczniejsi londyńscy złodzieje.

Krew mi się ścięła w żyłach. Mimo woli rzuciłem wzrokiem dokoła stołu, aby zobaczyć Rafflesa. Byłem pewien, że lada chwila nastąpi katastrofa, stokroć gorsza, niż w domu afrykańskiego milionera. Raffles był w najlepszym humorze, żywiony, swobodny, elegancki, prawdziwy lew salonów. Żał mi się go zrobiło w tej chwili. Jadł z apetytem, pił z upodobaniem, nie przeczuwając wcale, że stoimy obaj na wulkanie. Zdawało mi się, że zemdleję, taki lęk mnie ogarnął. Wypiłem duszkiem stojący przedemną kieliszek szampana i, jakoś orzeźwiony cokolwiek, zapytałem sąsiadki:

— Któż widział tych złodziei?

— Pewien detektyw, który przed kilku dniami wyjechał w ślad za nimi z Londynu. Jest ogólne mniemanie, że mają zamiar włamać się do Milchester Abbey.

— Więc czemuż ich nie pochwycą i nie zamkną? — zapytałem teraz z rozpaczliwą odwagą.

— Ja o toż samo pytałam się dziś ojca, a on mi tę rzecz wyjaśnił. Widzi pan jest rzecz taka: Jeszcze sąd nie wydał rozkazu uwięzienia, więc uwięzić ich nie można, tylko są pod czujnym nadzorem.

— A pod czym?

— Pod dozorem detektywa, który tu umyślnie w tym celu przybył. Słyszałam, że ich widziano kilka dni temu w gospodzie w Warbeck.

Znowu się przeraziłem, bo owa gospoda, do której chcieliśmy się schronić przed burzą, była w miejscowości Warbeck. Rozpacz niekiedy ubezwładnia ludzi, ale niekiedy dodaje im zuchwałości. Ja też teraz z rozpaczyci stałem się niemal zuchwałym.

— To prawdziwie zajmujące — rzekłem, śmiejąc się. Czy wolno zapytać, skąd się pani o tem wszystkiem dowiedziała?

— Od mojego ojca — odpowiedziała szeptem, w zaufaniu. Lord Amerstet wtajemniczył mego ojca we wszystko i zasięgał jego rady. Ojciec naradzał się ze mną, bo u nas zawsze tak bywa, że ojciec we wszystkim mi ufa i o wszystko się radzi, od czasu jak moja mama umarła. Tylko zaklinam pana o dochowanie tajemnicy. Sama sobie się dziwię, że się przed panem ze wszystkim wynurzyłam.

— Niechże pani będzie zupełnie spokojna; nie nadużyję zaufania. Czy pani nie lęka się tych złodziei?

— Nic a nic. Do nas na plebanie nie przyjdą, bo wiedzą dobrze, że niema po co. Ale niech się pan przypatrzy dokoła stołu, ile tu brylantów! Naszyjnik lady Melroses godzien zabiegów; ten jeden starczy za krociowy majątek.

Soojrzałem teraz na właścicielkę tego wspaniałego naszyjnika. Siedziała na prawo, obok lorda Amerstet, rozmawiała z niezwykłymżywieniem i co chwilę przytykała słuchawkę do ucha, to z prawej, to z lewej strony. Moja sąsiadka zapewniła, że lady Melroses jest zupełnie głucha i że tylko z największym wysileniem przez słuchawkę usłyszeć coś może. To kalectwo nie odbierało jej dobrego humoru, spijała szampan na wyścigi z mężczyznami, śmiała się opowiadając wciąż wesołe rzeczy. Istotnie wspaniała miała naszyjnik, wysadzony brylantami i szafirami; takiego nie widziałem nigdzie, u żadnego jubilera.

— A wie pan — szczebiotała sąsiadka — iż znawcy oceniają ten naszyjnik co najmniej na